

Ani słowa
prawdy

Ostatnio ukazały się:

Jacek Piekara – Rycerz Kielichów

Księga strachu (antologia)

Księga strachu 2 (antologia)

Mariusz Kaszyński – Skarb w glinianym naczyniu

Eugeniusz Dębski – Hell-P

W przygotowaniu:

Anna Brzezińska, Grzegorz Wiśniewski – Na ziemi niczyjej

Krzysztof Piskorski – Zadra

JACEK PIEKARA

Ani słowa prawdy

Opowieści o Arivaldzie z Wybrzeża



Agencja Wydawnicza
RUNA

ANI SŁOWA PRAWDY

Copyright © by Jacek Piekara, Warszawa 2005, 2008

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2005, 2008 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Jakub Jabłoński

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Anna Kaniewska, Katarzyna Pilipiuk

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30–701 Kraków

Wydanie II zmienione i poprawione

Warszawa 2008

ISBN: 978–83–89595–44–7

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00–844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0–22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Bo, co najważniejsze

Arivald był magiem. W każdym razie za takiego uchodził w oczach mieszkańców Wybrzeża. Miał niebieski płaszcz w srebrne gwiazdy, kryształową kulę i Księgę Czarów. Potrafił marmotać szybkie zaklęcia w obcym języku, o rzeczach jasnych i prostych mówić niezrozumiale, i odwrotnie. Umiał leczyć nosaciznę bydła, przyrządzać maści na skaleczenia i oparzenia, wskazywać rybakom miejsca najlepszych połowów, dziewczętom i chłopcom warzyć lubczyk, a starym mężom potrafił dopomóc w kłopotach z młodymi żonami. Dlatego też powszechnie uważano go za czarodzieja i jednego z członków Tajemnego Bractwa. Lecz mieszkańcy Wybrzeża, którzy (dawno przed przybyciem Arivalda) mieli już innego maga, nigdy nie zdołali poważnie traktować nowego opiekuna. Może był zbyt wesoły i dobroduszny jak na kogoś parającego się magią i mającego do czynienia z Mocą, może zbyt wiele popełniał omyłek, z których sam się umiał śmiać, może przyjmował za mało pieniędzy za

swoje usługi. W każdym razie nauczono się już, że nie należy przychodzić do niego z poważnymi sprawami, na przykład zapewnienia dobrej pogody, udanych zbiorów czy pomocy w poszukiwaniu skarbów.

Sama księżniczka bardzo lubiła Arivalda i często zapraszała go do zamku, by posłuchać barwnych opowieści o dalekich krajach. Mimo że miała żal, iż nie potrafił wyczarować złotych kolczyków z brylantami, o jakich marzyła od dawna. Jednakże ludzie z Wybrzeża, chociaż często ukradkiem podśmiewali się z maga, nie wyobrażali sobie, że mógłby z nimi mieszkać człowiek zimny i wyniosły, a tak mówiono o sławnych czarodziejach z Silmaniony. Arivalda zapraszano na chrzciny i wesela, przychodzono do niego po pomoc i radę; niejednej zakochanej parze pomógł już przekonać opornych rodziców. Potrafił łagodzić spory, zapobiegać waśniom i zażegnawać awantury. Dlatego też cieszył się sympatią i przez palce spoglądano na niedostatki jego czarodziejskiej wiedzy. Nikt nie mógł przecież przypuszczać, że już niedługo Wybrzeże będzie potrzebować prawdziwego mistrza znającego czary najwyższej jakości i umiającego się posługiwać fortelami magii bojowej.

Arivald bowiem wcale nie był czarodziejem. Miał za sobą karierę najemnego żołnierza, śpiewaka i poety, niestrudzonego podróżnika, który zwiedził chyba wszystkie krainy znanego nam świata. Jego prawdziwe imię brzmiało gminnie i prosto: Penszo. Właśnie jako Penszo, najemnik, bard, włóczęga, wieczny podróżnik, spędził pierwsze półwiecze życia. Ale nadszedł dzień, który miał wszystko zmienić. Dzień, w którym na drodze Pensza stanął prawdziwy czarodziej, członek Tajemnego

Bractwa. Zafascynowany opowieścią Pensza o moribrondzkiej wojnie pomiędzy krasnoludami a elfami i wiedźmiarzami, zabrał go ze sobą w podróż. Pewnego ranka, gdzieś na odludziu, mag umarł cicho i spokojnie w czasie snu, zostawiając Penszowi na głowie kłopot, co uczynić z jego ciałem i dobytkiem. Bard pochował maga, układając go zgodnie z obyczajem głową w stronę wschodzącego słońca. Początkowo zamierzał oddać zarówno niebieski płaszcz, jak i kryształową kulę, różdżkę oraz Księgę Czarów w ręce kogoś z Bractwa. Ale gdy sięgnął do ciężkiej, obłożonej w skórę, okutej na rogach złotem Księgi, nie mógł się już od niej oderwać. Okazało się, że była napisana w języku krainy, którą Penszo kiedyś odwiedził. I tak w ciągu jednego dnia i jednej nocy zdecydował, że zostanie czarodziejem. Włożył niebieski płaszcz, wsadził za pas różdżkę, ulokował w jukach Księgę i kulę, po czym dosiadł konia i ruszył przed siebie.

Nie tak prosto jednak odbywa się przemiana z żołnierza, barda i włóczęgi w maga. Nie na darmo przecież czarodzieje całymi latami, od dzieciństwa, uczą się korzystania z Mocy i posługiwania Księgą Czarów. Ale Penszo (który nazwał się Arivaldem, gdyż wyobrażał sobie, że to imię lepiej pasuje do jego obecnej pozycji) był dociekliwy, uparty i pracowity. A przy tym niebywale zdolny. Nikt chyba w tak krótkim czasie, korzystając tylko z własnej intuicji, nie potrafiłby nauczyć się tak wiele. Gdyby był szkolony od dziecka, zapewne mógłby się stać najwybitniejszym z żyjących magów. I tak już po miesiącu zajadłych prób umiał wyczarować sobie na śniadanie bułkę (fakt, że

najczęściej czerstwą) oraz ser i mleko. Później dowiedział się, jak zapobiegać zmęczeniu, jak leczyć najprostsze choroby u ludzi i u bydła i jak wykonywać najbanalniejsze sztuczki w rodzaju obłaskawiania dzikich zwierząt czy zapalania ognia z niczego. Po blisko trzech latach umiał już posługiwać się kryształową kulą, tworzyć mirażę i odróżniać słowa prawdziwe od kłamliwych. Nie nauczył się jednego: nie stał się taki, jaki powinien być czarodziej. Nie był więc zimny, wyniosły i wzgardliwy. Traktował wszystkich serdecznie i z życzliwością, często się uśmiechał, a z długiej siwej brody co rusz wytrząsał okruszki bułki lub sera. Nikt by nie uwierzył, że Arivald był niegdyś najemnym żołnierzem, dowódcą tylnej straży samego krasnoludzkiego króla Wszobrodego. Starał się tylko nigdy nie spotkać prawdziwego maga, bo sądził, że zbyt łatwo rozpoznano by w nim samozwańca. Wiedział już jednak, że milczenie lub odpowiadanie zbitką niezrozumiałych formuł jest najlepszym sposobem na rozwianie wszelkich podejrzeń. Może też z powodu obaw przed innymi czarodziejami wybrał się na Wybrzeże, które słynęło ze spokojnego życia oraz z tego, że przybywa tam niewielu gości. Wybrzeże, skaliste i nieurodzajne, żyjące głównie z morskich połowów, nie było miejscem, które chętnie odwiedzałyby kupcy, magowie czy rycerze. Czas snuł się tu powolutku, od jednego połowu do drugiego, ludzie byli prości i spracowani, a krajem rządziła młodziutka księżniczka, którą zachwycało, że zyskała własnego maga, bo powszechnie wiadomo było, że czarodzieje nie lubią opuszczać Silmaniony.

Arivald już szósty rok przebywał na Wybrzeżu. Mieszkał w małym dwuizbowym domku, niedaleko plaży, przycupniętym tuż u stóp Wieży Strażników. Do codziennych obowiązków maga należało poranne wchodzenie na wieżę i przepatrywanie okolicy za pomocą kryształowej kuli. Kryształowa kula co prawda równie dobrze spisywałaby się na plaży, ale mieszkańcy mogliby się niepokoić, nie widząc co rano na szczycie wieży niewielkiej sylwetki w charakterystycznym spiczastym kapeluszu. Budowla była stara, miała strome, częściowo spróchniałe schody, ale najgorzej było w czasie sztormu, kiedy wiatr starał się wywiać czarodzieja za balustradę, a wściekła ulewa całkowicie moczyła niebieski płaszcz. Zatem bycie magiem miało i swoje złe strony, które najsilniej dawały znać o sobie w deszczowe poranki.

Dzień, w którym rozpocznie się nasza historia, był jednym z tych pięknych słonecznych dni, kiedy niebo jest bezchmurne, wiatr uspokojony gorącem zaszywa się gdzieś w górach, a powierzchnia morza przypomina lustro. Takiego właśnie ranka Arivald, posapując cicho, wdrapał się na strome schody wieży i odpocząwszy chwilę na górze, ustawił przed sobą kulę. Od razu zdziwił go odmienny wygląd kryształu. Zwykle jasny i przejrzysty, teraz jakby pociemniał i zmatowiał. Mag splunął na palec i potarł nim kulę, jednak nic się nie zmieniło.

– Coś takiego – mruknął. – Sądzę, że nie oznacza to nic dobrego.

– Oczywiście – rozległ się niespodziewanie jakiś zgrzytliwy głos.

Arivald drgnął, zaskoczony, i dostrzegł w kuli głowę niemłodego już człowieka w spiczastym niebieskim kapeluszu. Człowiek ten miał czarne, przenikliwe oczy. One właśnie patrzyły z pogardą i złościwością na zdumionego czarodzieja.

– To będzie bardzo niemiły dzień, mój drogi Penszo, kiedy zjawię się u ciebie – ciągnął głos – a nie zjawię się sam. Patrz.

Obraz zmętniał i nagle zamiast twarzy czarnoksiężnika pojawiło się pełne morze i kilkadziesiąt smukłych okrętów o długich smoczycy łbach, płynących pod wielkimi purpurowymi żaglami. Ale Arivald na tyle już doszedł do siebie, że raz-dwa wymamrotał zaklęcie przeciw omamom i szybko dotknął kuli różdżką. Błysnęło, zamigotało i pozostało tylko sześć okrętów. Uśmiechnął się.

– No, no – znowu pojawiła się twarz czarnoksiężnika – nauczyłeś się czegoś, Penszo. Ale to, co widziałeś, to już nie omam. Niedługo te sześć okrętów dobije do waszego Wybrzeża.

– Czego chcesz ode mnie? – spytał Arivald, przełykając ślinę.

– Od ciebie? Nic. Jesteś tylko nędzną kreaturą i spotka cię zasłużona kara za podszywanie się pod jednego z członków Tajemnego Bractwa. Już dawno nikt nie ośmielił się na taką bezczelność. Kara musi być więc surowa, żeby odstraszyć innych niedoszłych samozwańców. Ale tobie poświęcę tylko chwilę. Płynę na Wybrzeże po księżniczkę, bo jej zapragnąłem. Niech się przygotowuje do wyjazdu ze mną, bo jeśli nie... – zawiesił głos – to kamień na kamieniu nie pozostanie z całego Wybrzeża. Powtórz jej to.

Arivald potarł mocno brodę i jak zwykle posypał się z niej okruchy chleba. Czarnoksiężnik w kuli zaśmiał się zgrzytliwie.

– Słyszysz, idioto? – syknął. – Powtórz, że przybywa oblubieniec i lepiej niech będzie gotowa czule mnie powitać.

Twarz zniknęła, ale kryształ pozostał ciemny i zmatowiała. Arivald usiadł na rozchwierutanim zydłu i starał się zebrać do kupy rozbiegane myśli. Naprawdę był wstrząśnięty, i co tu dużo mówić, mocno wystraszony. Kiedy już jednak uspokoił trochę nerwy, pomyślał, że najważniejszą sprawą byłoby dowiedzieć się, jak daleko od Wybrzeża znajdują się okręty najeźdźcy. A na to był tylko jeden sposób. Z obszernej kieszeni płaszcza wygrzebał kawałek węgla i narysował na podłodze koło, potem wpisał w nie gwiazdę, której pięć ramion oznaczył odpowiednimi symbolami. Stanął w środku koła i podrapał się po nosie.

– Zaraz, zaraz, jak to było... *Murem takal faris? Muram pahnal oris?*

Różnica była zasadnicza, bo jedno zakłęcie przywoływało kogoś z małych morskich demonów, a drugie leczyło katar. Arivaldowi bardziej zależało na demonie, zwłaszcza że od lat nie miał kataru.

– *Murem takal faris* – powiedział wreszcie, przymykając oczy i przywołując Moc.

Sprawa na tym się nie kończyła. Należało wykonać różdżką całą skomplikowaną sekwencję ruchów (a jeden błąd mógł popsuć zakłęcie), po czym wypowiedzieć długą formułę rozkazu, która Arivaldowi jakoś nigdy nie chciała na stałe wejść do głowy. Tym razem

jednak wszystko musiało pójść dobrze, bo po chwili coś mokrego pacnęło o podłogę. Mag zobaczył małego zielonego demona oplątanego wodorostami i złośliwie patrzącego na niego wyłupiastymi oczami.

– Czego chcesz, sklerotyczny czarodzieju, co? – zakrzeczał.

– No, no – mag pogroził mu różdżką – bądź grzeczny, bo cię uspokoję. Zaraz, zaraz jak to było... – Usiłował przypomnieć sobie, w jaki sposób karci się krnąbrne demony.

Demon westchnął głośno.

– Już dobrze, dobrze. Gadaj, czego chcesz. Nie mam czasu siedzieć tu godzinami, nim przypomnisz sobie formułę przymuszenia. Wolę po dobroci. Tylko chciałbym wiedzieć, czy pamiętasz, jak mnie uwolnić od rozkazu.

– Zdaje się, że pamiętam – mruknął niepewnie Arivald.

– Mam nadzieję – odparł zrezygnowanym tonem demon. – No, czego chcesz?

– Sześć okrętów płynie w stronę Wybrzeża – powiedział mag. – Kiedy tu będą?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Co, ja wróżka jestem? – obraził się demon. – Mogę najwyżej powiedzieć, gdzie są – dodał pojednawczo.

– Właśnie o to mi chodzi.

– Swoją drogą ładny z ciebie czarodziej, skoro musisz mnie wzywać do takiego głupstwa – zauważył nie bez złośliwości. – Trzydzieści dwie mile, ale wiatr słabnie i trzeba omijać skały. W tym tempie będą tu nie wcześniej niż pojutrze. No, zadowolony?

Arivald skinął głową i wyrecytował formułę odejścia. O dziwo, bezbłędnie. Demon zniknął tak szybko, jak się pojawił. Teraz przyszedł czas, żeby się poważnie zastanowić nad całą tą niebywałą i zatrważającą sprawą. Mag usiadł na podłodze i w zamyśleniu przeczeszał palcami długą brodę. Przez dwa dni można zrobić wiele. Na przykład opuścić na szybkim koniu Wybrzeże i znaleźć się w Górach Iglicowych, skąd już są tylko trzy dni drogi do równin. Ale zostawić księżniczkę? Zostawić wszystkich tych dobrych, spokojnych ludzi na pastwę czarnoksiężnika? Lecz cóż innego pozostawało człowiekowi, który pochopnie przywdział maskę mędrca i czarodzieja? Przecież nie ma najmniejszych szans w walce z czarną magią! W walce z sześcioma okrętami morskich rozbójników, gdy na pokładzie każdego jest co najmniej czterdziestu ludzi! Toż pokonanie tej potęgi było zadaniem nie tylko dla maga, ale i dla solidnego rycerskiego oddziału. Dwa dni. Cóż to są dwa dni! Przez dwa dni nie można zrobić zupełnie nic! A może jednak? W końcu Arivald nie był byle kim. Dowodził oddziałami Wszobrodego, na jego rękach umierał krasnoludzki król. Przeżył masakrę na morribrondzkich bagnach, zasadzki elfów, czary wiedźmiarzy oraz bągienną trzęsawicę. Nadszedł czas, by obudzić się z długiego i spokojnego snu!

Kiedy otworzył furtkę do ogrodu, zobaczył, że księżniczka właśnie bawi się w chowanego. Poznał to po zaaferowanych minach dworzan i po nerwowym przetrząsaniu przez nich krzaków oraz

wpatrywaniu się w korony drzew. Od kiedy władczyni zaczęła karać najmniej gorliwych w tej zabawie, wszyscy bieganiną i zgielkiem starali się udowodnić swoje zaangażowanie. Bo księżniczka karać umiała. Dla każdego potrafiła wymyślić coś niezbyt przyjemnego. Hrubelowi Śpiewakowi odebrała na trzy dni harfę, Bomborowi Borsukowi zabroniła przez tydzień jeść ulubiony pasztet z zajęczych języków, Tardowi Wyniosłemu kazała przez cały dzień chodzić w kobiecym czepku, a Magnusowi Pięknowłosemu ścięła loki przy samej skórze. Księżniczka nie była uosobieniem łagodności. Była krnąbrna, złośliwa i pyskata. Ale miała złote serce i wszyscy ją kochali.

– O, Arivald. – Zadyszany Magnus, który, nawiasem mówiąc, zupełnie idiotycznie wyglądał ostrzyżony na jeża, zatrzymał się obok. – Witaj. Czy nie mógłbyś znaleźć księżniczki? – spytał ciszej, a potem dodał szeptem: – I tylko mnie powiedzieć, gdzie się schowała?

– Oczywiście, mój drogi – odparł mag. – Nad jeziorem, pod granitowym lwem. W takiej okropnej dziurze. Całą sukienkę ma ubłoconą.

– Dzięki, panie. – Mężczyzna pognał pędem w stronę jeziora.

Czarodziej uśmiechnął się. Takie rzeczy jeszcze potrafił. Zaraz jednak spoważniał. Nie było czasu na chichy, śmichy i zabawy. Nadszedł czas walki!

Księżniczka wracała razem z zadowolonym Magnusem. Zastanawiała się, czy zrobić nadąsaną minę, czy nie. W dziurze było wilgotno, brudno i ohydnie śmierdziało, ale dotąd nikt tej kryjówki nie odnalazł. I teraz ten Magnus, no! A wydawało się, że to taki niedorajda.

– Dzień dobry, pani. – Mag pochylił głowę.

– O, Arivald! Od dawna tu jesteś? – spytała podejrzliwie.

– Dopiero co nadszedł – zapewnił ją śpiesznie Magnus.

– No, nie wiem. – Księżniczka spojrzała na niego uważnie. – Coś wolno odrastają ci te włosy – dodała złośliwie.

Magnus zaczerwienił się. Arivald ujął młodą damę stanowczo pod rękę i poprowadził parkową aleją w stronę zamku. Dał znak dworzanom, aby nie szli za nimi.

– Cóż to się stało? – Księżniczka była zdumiona.

– Niestety, pani. – Czarodziej westchnął.

– Cóżże znowu sknocił? – spytała beztrasko i nieco złośliwie.

Puścił jej słowa mimo uszu.

– Czy słyszałaś, pani, o morskich rozbójnikach płynących okrętami o smoczych łbach?

– Oczywiście, Arivaldzie, ale cóż...

– Płyną tutaj – dokończył – w sześć okrętów.

Księżniczka umilkła i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Teraz nie była to już wesoła dziewczynka bawiąca się w chowanego i drocząca ze wszystkimi. Przed Arivaldem stała władczyni.

– Jesteś pewien?

– Tak, pani.

– Kiedy tu będą?

– Za dwa dni, pani.

– Dobrze, wyślę gońców w góry, ogłoszę wici po wioskach. Pojutrze powinno stanąć z pięćdziesięciu zbrojnych, jak sądzisz?

– Zgadzam się z tobą, pani. Ale łącznie będziemy mieć tylko setkę mężczyzn umiejących władać toporem czy łukiem. Przeszło dwa razy mniej niż oni. A to są mordercy, pani. Najlepiej wyćwiczeni i najbardziej okrutni mordercy na świecie.

– A twoja magia? Nic nie poradzisz?

Teraz trzeba było przejść do najgorszego.

– Płynie z nimi czarnoksiężnik, pani. Mag o potężde tak wielkiej, że nie śnię nawet, by mu dorównać.

– Czarnoksiężnik! – powtórzyła i pobladła. – Czy utrzymamy się chociaż dwa tygodnie w zamku? Wyślę gońców za góry. Mój wuj...

– Nie utrzymamy się. – Arivald pokręcił głową. – Kilka dni może tak, ale nie trzy tygodnie. Bo najmniej tyle potrzeba.

– Więc cóż robić? – Księżniczka splótła nerwowo dłoń. – Czego oni tu chcą? Nie ma u mnie bogatych łupów ani... – Spojrzała w twarz maga i umilkła. – Ty wiesz – szepnęła po chwili. – Wiesz, czego chcą, prawda?

– Tak.

– Mów więc!

– Ciebie!

– Mnie... mnie... och, rozumiem. – Ukryła twarz w dłoniach.

Znów była tylko małą dziewczynką, przestraszoną i zapłakaną. Arivald objął ją i księżniczka wtuliła głowę w jego ramię.

– Nie płacz, malutka – powiedział czule. – Ja cię obronię.

I kiedy wymawiał te słowa, święcie w nie wierzył.

Hrenwig Wilk stał na dziobie statku i w milczeniu wpatrywał się w dal. Za sobą słyszał równy łomot wiosła i miarowy monotony głos żeglarsza podającego rytm. Wiatr zupełnie ucichł, zagle wisiały sflaczałe, zatem do Wybrzeża dopłyną dopiero za dwa dni. Wilkowi nie podobała się ta cała wyprawa, nie podobał mu się też ten, z którym ubili interes. Może dlatego, że Hrenwig, jak wszyscy Danskarczycy, nie lubił czarnoksiężników i nie ufał im. Nie ufał zresztą nikomu. I pewnie tylko dlatego żył do tej pory. Nigdy nie popłynąłby z własnej woli na Wybrzeże, bo i po co? Okolica uboga, ludzie twardzi, nawykli do topora i oszczepu. Za niewielkie łupy zapłaciliby dużymi stratami. Ale czarownik obiecał im coś, co jest warte o wiele więcej niż paręnaście trupów, coś, o czym marzył każdy danskarski rozbójnik. Obiecał im mapę morza wokół Złotej Wyspy, mapę, na której ponoć zaznaczono wszystkie rafy i mielizny. Hrenwig znał wielu, którzy próbowali dotrzeć na wyspę, tyle że żadnego z nich nie widział już potem żywego. A na niej, jeśli wierzyć temu, co gadają ludzie, złoto samo pcha się do rąk. Hrenwig cierpiał ostatnio na brak tego kruszcu, dał się więc skusić. Wprawdzie wszyscy czarownicy to chytrusy i oszuści, ale nie głupcy. Długo umiera ten, kto oszuka danskarskiego rozbójnika. A jeśli nawet ucieknie, świat stanie się dla niego bardzo malutki. Danskar wszędzie miał szpiegów, a krzywdą jednego jest krzywdą wszystkich. Hrenwig mocno zacisnął dłonie w pięści. Zleceniodawca dostanie to, czego chce, dostanie dziewczynę, ale biada mu, jeżeli nie da mapy. Magia magią, a topór

toporem. Poza tym Hrenwig miał wielką ochotę sprawdzić, czy czarownicy umierają tak samo jak zwykli ludzie.

Na Wybrzeżu trwały gorączkowe przygotowania. Ściągali już ludzie z niedalekich osad, gońcy pośpiesznie przemierzali kraj, kuźnia pracowała pełną parą, a u mistrza ciesielskiego aż kipiało. Arivald postanowił wypróbować siłę swej magii. Ślęczał całą noc i następny dzień nad Księgą, rysował jakieś znaki, powtarzał formuły i zaklęcia, wzywał demony. W efekcie nad ranem padał już z nóg, ale osiągnął to, co sobie zamierzył. Wiedział już, jak wywołać burzę. Co tam burzę, mało powiedziane! Sztorm, cyklon, huragan! Oto do czego doszedł!...

Lecz kiedy stanął na szczycie Wieży Strażników i po kilku pomyłkach wreszcie puścił w świat straszne zaklęcie, aż zadrzał. Bo na pełnym morzu miał się rozpętać żywioł przerażający w najwyższym stopniu. Arivald jednak próżno czekał na pierwsze czarne chmury, grzmoty i błyskawice. Czarnoksiężnik Vargaler przerwał na chwilę rozmowę ze sternikiem, popatrzył bacznie w stronę Wybrzeża, uśmiechnął się pod nosem, po czym wyciągnął zza pasa różdżkę, machnął nią kilkakroć w powietrzu, zamruczał coś i wrócił do przerwane dialogu. Burza, niestety, nie nadciągnęła; Arivald, szczerze mówiąc, był rozczarowany. Nie spodziewał się wiele po swoich umiejętnościach, ale liczył, no, chociażby na ulewę i grzmoty. A tymczasem niebo było bezchmurne jak poprzednio i pogoda robiła się iście